Wyzwolenie pełne siebie

Kiedyś się kochali. Bardzo. Ale to było kiedyś. Dzisiaj… Dzisiaj przychodziła do niego tak jak dawniej, to prawda, ale to był już tylko raczej rytuał, rutyna w którą wpadli nie wiadomo kiedy; dzisiaj byli sobie dziwnie obcy, bez zrozumienia bezsłownego, bez uśmiechów dawnych, słowem byli nie tyle z sobą, co obok siebie. Ich związek, dawniej zbudowany na miłości, teraz miał z nią już niewiele wspólnego, właściwie nic. Trwał jedynie oparty na dużej wspólnej tolerancji. Nie wytrzymał próby czasu. Tak jak wiele zresztą innych przed nimi, a także wiele po nich. Bardzo wiele.

Ten wieczór nie różnił się jakoś szczególnie od wielu ostatnich. Siedzieli u niego w kawalerce, przy kolacji, unikając zarówno słów, jak i spojrzeń – nawet tych przypadkowych; te były najgorsze, bo dręczące; były jakby i niedopowiedzeniem, i wyrzutem, i tym wszystkim co jest tam, gdzie miłości już nie ma, a jest za to bolesna obojętność.

Kończyli właśnie jeść, gdy pierwsza zdecydowała się przerwać dręczące milczenie:

– Mam sobie pójść? Powiedz.

Spojrzał na nią.

– Ty już dawno odeszłaś – odparł po dłuższej chwili.

Początkowo jakby nie zrozumiała, co on powiedział, jednak po chwili dotarł do niej sens tych słów: on ją obwiniał. To było oskarżenie. Oskarżenie jej! Tak, nie była czysta, bez skazy – wiedziała o tym, ale też i nie czuła się w pełni winna za to, co między nimi zaistniało. Nie tylko ona

tu zawiniła! Nigdy tak nie jest że tylko jedna strona ma rację, absolutną rację – wina jest zawsze wspólna w takich przypadkach. Zawsze! Ale on jakby o tym albo nie wiedział, albo nie chciał wiedzieć. I to mogło być przykre i bolesne. Jednak, mimo tego oskarżenia, może oprócz żalu który w niej wywołał, krótkotrwałego zresztą, nie była załamana. Była silna i czuła się dobrze. I nie myślała nawet, że tak to może spokojnie przyjąć, niemalże obojętnie. Dziwne to było dla niej samej, ale tak właśnie było. Nie czuła nic: ani nienawiści – ani miłości, ani pogardy – ani goryczy. Nie czuła tego wszystkiego, co czują przeważnie obwinione i porzucone kobiety. Wręcz przeciwnie – poczuła jakby długo oczekiwane wyzwolenie, od udręki i męki cierpienia. Czuła się tak, jakby pokonała jakąś kolejną granicę ludzkich możliwości i unosiła się teraz ponad ziemią, coraz wyżej i wyżej nie patrząc w dół, ale nie ze strachu, a z chęci zapomnienia, zagubienia gdzieś po drodze przeszłości. Aż dotarła do chmur i znikła w nich, niczym sen przed nagłym przebudzeniem. I wtedy uświadomiła sobie, że jest szczęśliwa. Bo wolność, to szczęście. A ona była wolna, wolna od wszystkiego i wszystkich. Nie była niczego i niczyim więźniem!

Został sam. Jeszcze tylko trzask zamykanych drzwi, martwy, nic nie znaczący odgłos kroków na schodach i ulica, pełna słońca i obietnicy szczęścia – przynajmniej ona tak ją widziała i wierzyła w to. I wierzyła, że za tymi drzwiami zostawiła część siebie samej – tej młodszej, niedoświadczonej. Że zamknął się za nimi pewien rozdział jej życia – rozdział, który miał zarówno dobre jak i złe chwile, ale do którego nie chciała wracać – przynajmniej nie teraz. Teraz liczyło się tylko jutro i to, że musi być inaczej,

bo i ona jest inna – dojrzalsza, lepsza, rozumiejąca o wiele więcej niż przedtem. Wiedziała to wszystko i była pełna nadziei i wiary, pełna ufności w swój los, w swoje szczęście.

W momencie, gdy zamyślona i uśmiechnięta przechodziła ulicę, od strony Placu Zbawienia dobiegł do jej uszu zmieszany ze sobą dźwięk klaksonu i pisk opon; zdążyła jeszcze tylko uchwycić wzrokiem taflę szkła i srebra która ją oślepiła, a w następnej chwili poczęła tracić realność istnienia, jakby ziemia się nagle zapadła, a ją ogarnęła całkowita ciemność. Nie czuła nic oprócz ogromnej ulgi i spokoju. I było jej teraz dziwnie dobrze i nie chciała już wracać. Nigdzie. I nigdy. Było tak dobrze…